

Salmonowicz, Stanisław

Jak studiowałem w dobie polskiego stalinizmu

Analecta 11/1-2(21-22), 313-336

2002

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej Bazhum, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych tworzonej przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie ze środków specjalnych MNiSW dzięki Wydziałowi Historycznemu Uniwersytetu Warszawskiego.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Stanisław Salmonowicz
Uniwersytet Toruński

JAK STUDIOWAŁEM W DOBIE POLSKIEGO STALINIZMU

„...system konsekwentnego terroru wystarczy, by skłonić
przeciętnego człowieka do zachowania konformistycznego.”

Hanna Swida-Ziemba

Pewien subiektywizm wspomnień jest rzeczą oczywistą bez względu na dobrą wolę wspominającego. Jeżeli autorem wspomnień jest historyk, zawodowo przyzwyczajony do kontrolowania świadectw źródłowych, a do tego prawnik, także profesjonalnie nieufny wobec wszelkich „naocznych świadków”, to być może wartość takich wspomnień wzrasta. Zazwyczaj wspomnienia z młodości owiewane są pewną dozą dodatkową sentymentu oślacającego minione, nieraz zgoła niewesołe czasy. W moim przypadku raczej taka sytuacja nie zachodzi. W spojrzeniu na epokę, czy to lat II wojny światowej, czy niezwykle skomplikowany (właśnie z punktu widzenia zmiennych losów ludzkich) okres lat polskiego apogeum stalinizmu (lata 1948–1956), do głosu dochodzą, także wśród historyków, a nie tylko uczestników wydarzeń, emocje współczesności, które retrospektywnie ubarwiają, nieraz niezwykle jaskrawo, ówczesną rzeczywistość. Siłą rzeczy wśród tekstów poświęconych epoce stalinowskiej przeważają wypowiedzi pochodzące od uczestników wydarzeń, świadków epoki, choć oczywiście nie jest rzeczą obojętną, czy ów świadek obserwował ją z pozycji studenta, więźnia politycznego, działacza komunistycznego, czy w tej lub innej formie profitenta epoki¹. Jako historyk podjąłem niedawno próbę syntetycznej refleksji², w której rozważając epokę i postawy ludzkie starałem się bardziej owe sytuacje wyjaśniać, niż gromko oceniać, choć podkreślić warto, iż jestem wolny od tendencji apologetycznych idących nazbyt daleko w realizacji hasła „tout

comprendre, c'est tout aimer". Z rezerwą podchodzę też do jednoznacznie czarno-białego opisu rzeczywistości bogato reprezentowanego zwłaszcza w publicystyce. Występując jednakże tym razem w roli autora relacji, a więc spojrzenia wolnego od prób uogólnień, wykraczających poza ówczesny krąg obserwacyjny, chciałbym w pierwszej kolejności określić swój ówczesny „punkt obserwacji”, co w jakiejś mierze legitymuje moje sądy i oceny.

Kiedy wstępowałem po maturze na Wydział Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego moja sytuacja rodzinna, poglądy i postawa „moralno-polityczna”, acz z pewnością nie nadmiernie odosobniona, to przecież raczej nie reprezentowała standardów przeciętnych, właściwych dla większości studentów rozpoczynających rok studiów wraz ze mną. Na roku tym przeważali w ogromnej mierze studenci pochodzenia robotniczo-chłopskiego (raczej chłopskiego), którzy wszyscy niemal byli członkami Związku Młodzieży Polskiej (ponad 90% ogółu studentów – z tym, że owe około 10% nienależących do ZMP to były raczej dziewczęta, wobec których stosowano ideologiczną taryfę ulgową w nadziei, iż „dojrzeją” one także do wstąpienia do ZMP. Także nieliczni chłopcy pochodzenia chłopskiego nie należeli do ZMP). Wśród grupy inteligentkiej przeważali zdecydowanie członkowie ZMP, niektórzy nb. należeli do najgorliwszych aktywistów, zapewne dlatego, iż w ten sposób nadrabiali brak właściwego pochodzenia, a pewnym wyrobieniem kulturalnym i miejskim uzyskiwali łatwo przewagi w życiu uniwersyteckim w stosunku do młodzieży wiejskiej i małomiasteczkowej. O tym, że w gronie studiujących znalazłem się nie bez trudu czy łutu szczęścia, będę jeszcze pisał. Istotne przecież było to, iż wywodziłem się z rodziny inteligentko-ziemiańskiej rodem z Wileńszczyzny (a nawet – z Kowieńszczyzny), że mój ojciec (nieżyjący) był wysokim urzędnikiem państwowym, a w latach 1916–1920 działaczem niepodległościowym, jednym a szefów POW w Wilnie. Na odmianę mój wuj od strony matki, legionista i działacz POW, był w czasie II wojny światowej wybitnym członkiem KG ZWZ-AK, a po wojnie jednym z współorganizatorów konspiracji WIN-u. Za tą działalność siedział już w więzieniu (od końca 1945 r. do końca 1948 r.) Wypuszczony po odbyciu kary został – właśnie w momencie rozpoczynania przeze mnie studiów w listopadzie 1950 r. – ponownie aresztowany i na długie lata trafił znów do więzień Bezpieki.³ Także inni członkowie mojej rodziny, po objęciu władzy przez komunistów w Polsce, bądź znaleźli się na emigracji politycznej w Anglii, bądź także już wcześniej trafili do więzień UB. Tak więc cała moja rodzina, zwłaszcza ci, którzy przeżyli okres rządów sowieckich w Wilnie w latach 1939–1941 (sam mieszkałem w Wilnie do 1943 r.), nie mieli złudzeń, ani co do komunizmu jako doktryny, ani co do Związku Radzieckiego. Mój stryj Stanisław, czas jakiś redaktor polskiej gazety w Kownie, został deportowany w 1941 r. w głąb Rosji i tamże zmarł w 1942 r. na skutek przejść obozowych. Pewne więc rzeczy dla mojego

najbliższego otoczenia były jasne od początku: żyjemy w ustroju narzuconym nam wynikami II wojny światowej, reżim komunistyczny jest kłamliwą utopią opartą na terrorze. Od jesieni 1945 r. do jesieni 1948 r. mieszkałem wraz z matką i bratem w Zielonej Górze, gdzie szukaliśmy po prostu możliwości stworzenia jakiejś egzystencji po utracie wszystkiego w czasie wojny. Egzystencja ta uległa załamaniu w 1948 r. w ramach tzw. „bitwy o handel”, kiedy mały sklepik, który moja matka niezbyt profesjonalnie prowadziła, padł ofiarą owej polityki, a myśmy wrócili do Krakowa, gdzie na szczęście w mieszkaniu dziadków znalazł się dla nas pokój. Dodam jeszcze, że w latach 1945–1948 byłem aktywnym harcerzem. W Zielonej Górze panował w ZHP aż po kryzys roku 1948 nastrój mniej lub bardziej wyraźnie opozycyjny, choć oczywiście nasze kierownictwo dążyło do pewnego minimum oficjalnej mimikry, by nie dawać powodów do represji. Obozy harcerskie lat 1946 i 1947 były przecież w sposób autentyczny przepełnione mistyką „Szarych Szeregów” (ich członkowie byli wśród nas) i legendą Armii Krajowej, Powstania Warszawskiego. Najwyraźniej tradycja, do której się odwoływano, wyrażała się w doborze pieśni śpiewanych w marszach i przy ogniskach. Klęska przyszła w lecie 1948 r. Pamiętam, jak uczestniczyłem w posiedzeniu Komendy Hufca w Zielonej Górze, na którym delegat nowych władz Chorałwi z Poznania przekazywał nam instrukcje mające zmienić ówczesne ZHP w swego rodzaju „młodzieżowego sojusznika Partii”. Scena to była – może i nie bezwiednie – swego rodzaju imitacją słynnej sceny z *Potopu* Henryka Sienkiewicza. W roli Zagłoby rzucającego wyzwanie Radziwiłłowi jako zdrajcy wystąpił nasz hufcowy, który oświadczył, że nie przyjmuje tych dyrektyw do wiadomości i składa dymisję ze stanowiska. Wówczas my wszyscy, jeden za drugim, powtórzyliśmy jego oświadczenie opuszczając salę: delegat Poznania pozostał na niej bodaj bez żadnego towarzystwa.

W Krakowie dostałem się, nie bez koneksji przyjaciół rodziny, do najlepszego ówczesnie gimnazjum i liceum w Polsce: III Liceum im. Króla Jana III Sobieskiego. Po latach mogłem stwierdzić, iż gros moich profesorów Wydziału Prawa UJ właśnie wywodziło się z tego liceum. Mieliliśmy jeszcze w latach 1949–1950 niemal wyłącznie profesorów szkoły z przedwojennym stażem, a naszym wzorem był dr Franciszek Fuchs, znakomity historyk starej daty, jeszcze uczeń Wincentego Zakrzewskiego. Franciszek Fuchs był liberałem, niewolnym może od umiarkowanej lewicowości na typowo krakowski sposób, ale oczywiście nie mieścił się w modelu stalinowskiej dydaktyki. Kiedy właśnie w roku naszej matury wybuchła sprawa nagłośnionego procesu grupy maturzystów naszej szkoły z poprzedniego roku, przyszły na nas złe czasy. Szkolni aktywiści wyłazili ze skóry, by ratować własną skórę i atakowali starych profesorów, a zwłaszcza Franciszka Fuchsa. Do matury dotrwaliliśmy jednak w dotychczasowym składzie, ale na maturze wywarło odgórny nacisk, którego ofiarą padł m. in. autentyczny

arystokrata mojej klasy, Staś Lubomirski, którego oblano dla przykładu czy dla zasady. Jeżeli nawet do nauki nadmiernie się nie przykładał, to przecież kulturą domową, językiem francuskim i wrodzoną inteligencją z pewnością w sumie na świadectwo dojrzałości zasługiwał – nie mniej niż parę innych osób o w pełni właściwym pochodzeniu społecznym. Nic nie pomogło: po burzliwej dyskusji, jak pamiętam, profesor Fuchs dosłownie wyleciał wzburzony z sali komisji egzaminacyjnej. Po maturze dyrektora, profesora Fuchsa i parę innych osób zwolniono z pracy, a my – z wyjątkiem aktywistów ZMP – mieliśmy z reguły trudności przy egzaminie na wyższe uczelnie. Tak więc składając papiery na studia nie miałem żadnych złudzeń, ani co do reżimu, jego ideologii, jego metod. Postępowałem jednak zgodnie z sytuacją: złożyłem papiery nie tyle z zamiłowania do studiów prawniczych (choć mój wuj, mój ojciec i mój stryj studiowali prawo na USB), co po stwierdzeniu, iż na prawo jest najwięcej miejsc: 450. Nie miałem rzecz jasna poparcia ZMP, ale przynajmniej ankietę personalną, pierwszą z licznych wypełnianych w systemie stalinowskim, wypełniłem z pełną dezynwolturą człowieka, który żyje w trybach systemu totalitarnego (choć samej definicji totalitaryzmu jeszcze nie znałem, podobnie jak proroczych dzieł Orwella czy Kafki). Tak oto mój ojciec pośmiertnie został urzędnikiem samorządowym bez bliższej precyzji słowa (liczyłem na to, że działalność mojej rodziny w Wilnie, Nowogródku czy Brześciu n. B. pozostanie w gestii dokumentacyjnej władz sowieckich, a nie polskich), rodzina awansowała do grona „inteligencji pracującej”, rzecz jasna nikt z rodziny nie znalazł się w rubrykach złowrogich – członkowie rodziny zagranicą, rodzina w więzieniach itp. W ten sposób dołączwszy niezłe świadectwo maturalne liczyłem na minimum szans. Mam wrażenie – jako w końcu bywalec egzaminów uniwersyteckich przez długie lata – iż egzaminy wstępne roku 1950 były *curiosum* nie mającym precedensów, ani nawet pełnej analogii w latach następnych. Rzecz na Uniwersytecie Jagiellońskim w każdym razie wyglądała w ten sposób, iż wyniki egzaminu były tylko częściowo ważne, bowiem o wszystkim ostatecznie decydowała przewaga czynników „społecznych” w Komisji wydziałowej, która ustalała listę przyjętych. Przyjęto początkowo o wiele mniej osób niż było miejsc, choć wiele osób zdało egzamin (w tym i ja), ale pozostałe miejsca (a także i później stworzony nadkontyngent) przekazano do decyzji Odwoławczej Komisji Uniwersyteckiej, która dysponowała łącznie bodaj kilkuset miejscami do rozdania, zaś miała do rozpatrzenia ponad tysiąc odwołań. Komisja urzędowała dosłownie na stosach akt w Auli UJ, a przewodniczył jej – na moje szczęście – historyk, ówczesnie jeszcze docent, Józef Garbacik. Jego życzliwości będę zawdzięczał przyjęcie mnie... w listopadzie na studia prawa z ostatnim tego roku numerem indeksu – 487. Do tego szczęśliwego dla mnie finału doszło jednak dopiero na sam koniec działań Komisji Garbacika, co prawdopodobnie wynikało z jego taktyki

przeciągania decyzji w stosunku do osób źle widzianych aż do momentu, kiedy czujność i aktywność działaczy młodzieżowych ulegnie osłabieniu w związku z rozpoczęciem zajęć na studiach. Owe działania Komisji wyglądały tak, iż przez cały wrzesień i październik przed Aulą UJ kłębił się nieprzerwanie wąż kolejki, liczącej każdego dnia przeciętnie 150–200 osób. Tylko z trudem można było dotrzeć przed oblicze Komisji i wówczas bądź zainteresowany dowiadywał się, iż jest definitywnie załatwiony odmownie, bądź otrzymywał propozycję „nie do odrzucenia”, by w ciągu jednej minuty decydował się na oferowaną mu możliwość studiowania: na przykład niedoszły prawnik przyjmował z radością niemal w sercu skierowanie na archeologię, filologię rosyjską czy pedagogikę. Prawdopodobnie owe propozycje były wypadkową jakiejś „ideologicznej” skali wymagań od kandydata i tu prawdopodobnie właśnie na prawo najtrudniej było sprostać takim wymaganiom i zależały od stopnia swego rodzaju upolitycznienia danych studiów. Prawdopodobnie obok prawa najtrudniej było dostać się na filozofię, filologię zachodnioeuropejskie, historię. Kryteria tych decyzji *in concreto* były dla nas w kolejkach zupełnie nieodgadnione, tym bardziej, iż obok dosłownie owo pożądane przez kogoś prawo oferowano osobie, która nie dostała się na filologię romańska, a ktoś kto nie dostał się mimo dobrego wyniku egzaminu na prawo, wędrował jak niepyszny na filologię słowiańską. Co do mnie profesor Garbacik, znając akta, zastosował taktykę zwlekania: parokrotnie stałem przed jego obliczem, zadawał mi jakieś pytania i następnie decydował: proszę przyjść za tydzień, potem znów miałem przyjść za tydzień. I tak wytrwałem w kolejkach aż do początku listopada, by jednak trafić na upragnione prawo, choć nie da się zaprzeczyć, iż przyjąłbym wówczas może wszystko z wyjątkiem matematyki i filologii rosyjskiej... Tyle wstępu przed opisem moich wrażeń ze studiów na Wydziale Prawa UJ.

Jeżeli pierwszym rokiem studiów prawniczych, na którym grupa aktywistów ZMP i PZPR zaznaczyła wyraźnie swoją działalność i zaczęła, z mniejszym lub większym sukcesem, terroryzować naszych profesorów, był rocznik 1949/50, to przecież rokiem klasycznie stalinowskim stał się dopiero mój rocznik studiów. Ówczesne tzw. studia I stopnia (bez magisterium) trwały trzy lata i rzeczywiście te trzy lata – 1950–1953/4 były apogeum stalinowskiego totalitaryzmu w Polsce. Pewne nieśmiałe oznaki kryzysu systemu po śmierci Józefa Stalina pojawiły się dopiero pod koniec 1954 r., jakkolwiek realne przejawy odwilży w Krakowie stały się zauważalne dopiero od jesieni 1955 r. Tu, wyprzedzając dalszy tok relacji, warto podkreślić ogromną rolę psychologiczną dla środowisk krakowskich (uczulonych od początku na budowę i istnienie Nowej Huty) publikacji wiersza Adama Ważyka *Poemat dla dorosłych* wynikającą z pewnego publicznego przełamania tabu cenzury.

Wracając do toku narracji chciałbym naprzód określić ramy organizacyjne i psychologiczne – klimat, w jakim rozpoczynaliśmy studia. Od pierwszych kroków student ówczesny był ujęty w ramy dyscypliny formalnej i przemożnego nacisku ideologicznego na niespotykaną wcześniej ani później skalę: rok studiów posiadał swoje kierownictwo *quasi* samorządowe w postaci starosty roku, jego otoczenia oraz – przy podziale ogółu studentów na grupy studenckiej (była to w zasadzie równocześnie grupa ćwiczeniowa) – starosty czy starościny grupy studenckiej. Równoległe istniały dwie dodatkowe i ważniejsze siatki ideologiczne: organizacja Związku Młodzieży Polskiej z władzami koła na roku, powyżej władzami wydziałowymi, uczelnianymi, dzielnicowymi itd., oraz stosunkowo skromna liczebnie, ale tym bardziej niebezpieczna grupa działania PZPR na roku podlegająca Organizacji Partyjnej Wydziału, łączącej zarówno pracowników partyjnych (głównie pierwszych gorliwych asystentów, którzy wstąpili do Partii) oraz studentów, którzy uzyskiwali w ten sposób możliwość wpływania nie tylko na losy kolegów, ale i profesorów. Każdy student należał do Zrzeszenia Studentów Polskich, które było jedyną powszechną organizacją studencką i zarazem swego rodzaju związkiem zawodowym o kompetencjach w różnych sprawach bytowych studentów, ale równocześnie mającą przekazywać („transmisja” Partii na szerokie masy) ideologię komunistyczną i służyć jako element kontroli ogółu studentów...

Reglamentacja życia studenckiego osiągnęła wówczas apogeum. Wykłady uniwersyteckie zajmowały przeciętnie 6 godzin dziennie, popołudniami kilka razy w tygodniu były prowadzone ćwiczenia i lektoraty. Wszystkie zajęcia były obowiązkowe. Rozbudowę zajęć dydaktycznych tylko częściowo wytłumaczyć można brakiem wielu podręczników. Swoją rolę miał także bardzo zróżnicowany poziom dydaktyki, a przede wszystkim ogólna koncepcja możliwie pełnego zagospodarowywania studentom czasu. Obok dydaktyki moc czasu zajmowały członkom ZMP najprzeróżniejsze działania organizacyjne (łącznie z „walką o pokój”) oraz szkolenia ideologiczne. Tego typu sprawy mnie na szczęście nie obejmowały. Także jednak niezrzeszonych zmuszano czasami do udziału w tzw. „otwartych” zebraniach ZMP. Do tego dochodziły m.in. tzw. narady produkcyjne danego roku, zamieniane często przez gorliwych aktywistów w swego rodzaju seanse oskarżeń przeciw profesorom o burżuazyjne poglądy czy obyczaje⁴. Pamiętam, jak na jednym z takich posiedzeń, profesor prawa rzymskiego, Wacław Osuchowski był ostro atakowany za maniery minionej epoki, mające polegać na tym, iż nie tylko że przychodził na wykład w futrze, które szczęśliwie przetrwało wojnę, ale że pozwalał sobie owo futro podawać dobrze wychowanym studentom...

Wprowadzono tzw. dyscyplinę studiów, która uniemożliwiała jakikolwiek indywidualizm zachowań i metody studiów: student miał obowiązek być obecnym na wszystkich zajęciach, egzaminy zdawać wyłącznie w terminach odgórnie

ustalanych, w ramach sesji, która trwała tylko kilka dni. Wszelkie naruszenia tych zasad powodowały kierowanie sprawy do komisji dyscyplinarnej i szereg poważnych konsekwencji (odebranie stypendium, skreślenie z listy studentów). Dla realizacji tych szczytnych celów powołano całą machinę organizacyjną: każdy starosta grupy otrzymywał co tydzień bloczek kalendarzowy, w którym miał notować obecność lub nieobecność każdego członka grupy na danych zajęciach. Dla kontroli starostów na odmianę powoływano z aktywistów ZMP tzw. brygady lekkiej kawalerii, które niemal codziennie na początku jakiegoś wykładu kontrolowały wyrывkowo 2–3 grupy studenckie. Utrudniało to profesorom spokojne rozpoczynanie wykładu. Dodam, iż oczywiście pojawiły się liczne metody obchodzenia tego typu niezyciowych przepisów. Już od pierwszego roku studiów znalazłem sobie „niszę ekologiczną” – Bibliotekę Jagiellońską, w której po kilku miesiącach czułem się jak w domu, a po roku miałem zgoła tajemne kontakty z personelem, pozwalające nawet na uzyskiwanie książek formalnie zakazanych lub trudno dostępnych. Dla siedzenia jednakże w Jagiellonce niemal dzień w dzień musiałem, *nolens volens*, skorumpować starościcę mojej grupy, która, na szczęście, łączyła umiarkowaną aktywność w ZMP z dobrze ukrywanym pochodzeniem ziemiańskim (co wykryto u niej dopiero w 1954 r. usuwając ją z aplikacji sądowej jako element niepożądany!). Tak więc udawało się nam przez długi czas, bez większych kłopotów, kontynuowanie znanej zabawy historycznej w „martwe dusze”, w tym przypadku chodziło o osoby, które tylko duchem przebywały na sali co nudniejszych wykładów typu ekonomia polityczna, marksizm, ustroj Związku Radzieckiego, prawo administracyjne lub prawo państwowe. Kontrola studenta nie ograniczała się jednak do sfery dydaktyki. Najgorzej mieli pod tym względem studenci mieszkający w domach akademickich, które pozostawały pod wielostopniowym czujnym dozorem. Nie brakowało oczywiście na roku – obok zwyczajnie gorliwych ideologicznie aktywistów (tu najgorsze były, wyznać trzeba, niektóre dziewczęta, co zresztą potwierdzają liczne badania nad rolą kobiet na przykład w służbie reżimu hitlerowskiego) – także wtyczek agenturalnych władz bezpieczeństwa. Chłopców dodatkowo obciążało studium wojskowe, na które przeznaczano bodaj w całości soboty, ale które rodziło i szereg innych dodatkowych obowiązków. Tutaj – co doświadczył na sobie na przykład mój kolega z historii sztuki, słynny później Piotr Skrzynecki – można było bardzo łatwo „podpaść” oficerom bacznie obserwującym, mimo, a może z powodu absolutnie niskiego poziomu inteligencji swoich podwładnych⁵. O tym, że środowisko studenckie jest bacznie obserwowane świadczył także fakt, iż w latach 1950–51 z mojego roku w różnych niejasnych okolicznościach znikło w więzieniach UB około 7 osób. Co robił w takiej sytuacji ktoś w moim położeniu i czy istniały środowiska godne zaufania? Otóż na podstawie moich własnych doświadczeń mogę stwierdzić, iż ludzie zmuszeni ukrywać swe rzeczy-

wiste poglądy w sytuacjach mniej lub bardziej niejasnych, wyrabiali sobie szczególny zmysł obserwacyjny. Już po pewnym czasie, po około 5–10 miesiącach bardzo ostrożnego obserwowania otoczenia, miałem – jeżeli nie co do całego rocznika studiów (było przecież ze mną aż 487 osób na roku), to przynajmniej w stosunku do znacznej liczby osób – dość precyzyjny podział środowiska na trzy grupy: aktywistów i innych osób, które z tych czy innych względów nie budzą zaufania i wobec których lepiej z góry przyjąć domniemanie, iż jest to grono rzeczywistych czy potencjalnych donosicieli. Do tej grupy, oczywiście z możliwością pomyłki na ich niekorzyść, mogłem bez trudu zaliczyć około 75 osób na roku. Część tych ludzi po dwóch latach studiów została zakwalifikowana przez specjalną komisję z Warszawy do dalszych ekskluzywnych studiów i miejsc pracy (studia w Związku Radzieckim, studia w Warszawie w zakresie handlu zagranicznego lub do pracy w dyplomacji vel wywiadzie. Z małymi wyjątkami wybrani musieli mieć dobre wyniki w nauce, ale byli nade wszystko janczarami systemu). Drugą grupę na roku stanowiły osoby, których bliżej nie poznałem, lub reprezentujące wyraźnie mniej lub bardziej bierne postawy. Tacy ludzie też nie mogli zasługiwać na zaufanie, choć prawdopodobnie nie byli niebezpieczni. Tu zaliczałbym gros studentów roku. I wreszcie powolutku wytwarzać się poczęła mała grupa osób, z którymi utrzymywałem bliższe kontakty różnorodnej natury. Byli to przeważnie studenci i studentki nie mieszkający w domach akademickich, najczęściej stali mieszkańcy Krakowa (co pozwalało na bliższą orientację o charakterze ich rodzin), zwykle pochodzenia inteligenckiego. Na ćwiczeniach, w rozmowach o książkach, o profesorach, o sprawach okupacji (tu bardzo ostrożnie!) rodził się pewien kod kultury i polityki, który pozwalał na ustalenie (oczywiście z początkowym ryzykiem pewnych kłopotów w razie pomyłki), iż są to ludzie godni zaufania, ciekawi, inteligentni, mniej lub bardziej niechętni systemowi. Ogólnie wprowadziliśmy rozmów bezpośrednich o polityce i ideologii. Oczywiście, o prowadzeniu rozmów o otwarciu „anty-rządowym” charakterze czy o zwierzeniach o sprawach niebezpiecznych nie mogło być mowy. Tego typu kwestie pozostawały raczej domeną wyjątkowych rozmów w cztery oczy. O ile pamiętam, to przynajmniej do 1954 roku nikt z moich przyjaciół nie wiedział niczego o losach okupacyjnych czy sprawach mojej rodziny. Koledzy, którzy mieli za sobą na przykład przeżycia z okresu deportacji rodziny do Związku Radzieckiego, z reguły nigdy się na ten temat nie wypowiadali. Ostatecznie jednak byliśmy młodzi, spotykaliśmy się na prywatkach w małych gronach, nawiązywane przyjaźnie nabierały charakteru trwałego, rodziły zobowiązania do wzajemnej lojalności. Na codzień nasze bytowanie określały dwa elementy: pierwszy – prawie nikt z nas nie miał pieniędzy w tych latach, drugi – dość powszechny zapał do nauki. Byliśmy może ostatnim pokoleniem tych młodych, którym okupacja całkowicie, bądź częściowo odebrała na la-

ta możliwości kształcenia się i doceniałiśmy znaczenie kultury i nauki. Część wśród nas była w wyniku wojennych opóźnień w wieku ponad 20 lat (przeważały roczniki 1932-1927), kiedy rozpoczynała naukę uniwersytecką. Jeżeli lata uniwersyteckie od 1945 r. cechował dość powszechny zapał do nauki, czasami mającej zastąpić fatalny bieg spraw ogólnych w kraju, to także i nasze roczniki, w tym studenci ze wsi i małych miasteczek, wykazywały generalnie pęd do zdobywania wiedzy. Wykorzystywała to propaganda komunistyczna na wszelkie sposoby, ale i sama ulegała pewnym skutkom własnej propagandy. Dla mnie uzyskiwanie dobrych wyników w nauce było zasadniczym elementem „polityki przeżycia” epoki: będąc totalnym bezpartyjnym, niewątpliwie po jakimś czasie źle widzianym przez gros aktywu – byłem dla nich może zbyt odmienny w sposobie bycia i reagowania – musiałem szukać pozycji obronnych. Uzyskując przez cały tok studiów regularnie ponad 4,5 not z egzaminów (a z całego okresu studiów plus magisterium 4,76) miałem po pierwsze tzw. stypendium premio-we, co w moich warunkach finansowych miało znaczenie zasadnicze, po drugie zaś sam fakt, iż należałem do wąskiego grona najlepszych studentów (przy całej mistyce tzw. współzawodnictwa w nauce, magii statystyk i sprawozdań) powodował, że stawałem się dla aktywu w jakiś sposób nietykalny. Być może czekano na mój fałszywy krok, by mnie pognębić; ale to się nie udało. Podobnie było po ukończeniu trzyletnich studiów: na otworzony na naszym Wydziale kierunek magisterski historyczno-prawny aktywiści, zmrożeni wymaganiami profesorów Vetulaniego i Osuchowskiego, raczej woleli nie kandydować. Ja miałem już za sobą proseminarium docenta Paulego i dobre stosunki z całą Katedrą Powszechnej Historii Państwa i Prawa i stąd nie miałem trudności w przejściu na kierunek magisterski. Dodam, iż oczywiście ten pęd do nauki inne musiał rodzić skutki w mentalności studenta, który mozolnie ograniczał się do studiowania skryptów i notatek z wykładów, a inaczej wyglądał dla tych nielicznych, którzy potrafili korzystać ze zbiorów Biblioteki Jagiellońskiej. Wąskie grono bywalców, któ-rych nie męczył trud wykładów, czy uczenia się na pamięć formułek ze skryptu o podstawach marksizmu-leninizmu, poza czerpaniem wedle własnych, różnych upodobań ze skarbów Jagiellonki, prowadziło rozmowy na korytarzach, w bufecie. Dzielono się wrażeniami z książek, znajdowano wspólne zainteresowania. Dla mnie najważniejsze stały się zainteresowania historyczne, w miarę możliwości dotyczące także historii najnowszej, oraz zamiłowanie do kultury francuskiej, co dawało dostęp do lektur w językach obcych. Wkrótce tworzyły się drobne grupy wtajemniczonych. To gra w brydża stanowiła ówczasie jakby wstęp do wąskiej elity równie wrogiej systemowi, co system, może nie bez pewnych racji, był wrogi brydżowi. W brydża gra w domach akademickich była wręcz niebezpieczna. Grywało się w zaprzyjaźnionych domach nie zwierzając się z tych zajęć osobom niegodnym zaufania. Drugą wiedzą nie-

mal tajemną był jazz. Wśród moich najbliższych przyjaciół był zdolny amator-pianista, późniejszy profesor prawa cywilnego UJ, Ireneusz Weiss. W jego domu jazz, brydż i generalna atmosfera starej kultury krakowskiej, panowały otwarcie. Nb. wielogodzinne imprezy brydżowe, urządzone niekiedy w godzinach wykładów (!) miały posmak niemal działalności nielegalnej... Należałem także do grona amatorów historii sztuki (stąd moje związki z Karolem Estreicherem), nowoczesnego malarstwa. Unikaliśmy „zabaw młodzieżowych” z rytualnym śpiewaniem piosenek radzieckich i specyficznym ideologicznym sztafażem na rzecz spotkań kameralnych w domach prywatnych, co także tworzyło klimat tych lat, podobnie jak organizowane wspólnie wakacyjne lub niedzielne wyprawy w gronie osób zaufanych. Istotą rzeczy było unikanie, w miarę możliwości – bo pewien poziom mimikry był konieczny, choć u każdego niemal kształtował się inaczej – udziału czynnego w życiu oficjalnym „młodzieży socjalistycznej”. Pamiętam ile wysiłku wkładałem w próby unikania (nie zawsze udane) udziału w pochodach pierwszomajowych. Udział obowiązkowy studentów (jak i personelu uniwersyteckiego) w pochodach majowych był bezwzględnie egzekwowany i całkowite jego ignorowanie mogło studenta wiele kosztować. Trzeba więc przypomnieć tym wszystkim, którzy zapominają często o podstawowych elementach krajobrazu totalitarnego: poczucie strachu i konieczność pewnej dozy oportunistu były właściwie konieczne dla każdego, kto pracował na jakimś stanowisku fachowym, był studentem. Robotnik sezonowy mógł sobie pozwolić na różne formy „nieuczestniczenia”, bowiem zakres ewentualnych represji wobec niego był w przypadkach mniejszej wagi właściwie żaden. Najgorsza była pozycja inteligenta na jakiej takiej posiadzie, którą mógł w każdej chwili utracić. Mieszkaliśmy, tak się przypadkowo po wojnie złożyło, w willi popularnego przed 1939 r. generała Bernarda Monda. Miał piękną kartę w kampanii wrześniowej, potem przebywał w oflagu, Niemcy go oszczędzili. Wrócił po wojnie do Krakowa, nie został na emigracji. Początkowo władze były mu życzliwe, czas jakiś był dyrektorem ówczesnego „Orbisu”. Gdzieś chyba około 1950 r. stracił posadę, emerytury generalskiej mu nie przyznano. W wieku bodaj 64 lat pracował aż do 1956 r. (?) jako stróż nocny... O bezkompromisowym, publicznie ujawnianym proteście wobec rzeczywistości od 1948 r., poza bardzo rzadkimi przypadkami, trudno byłoby mówić. Taka demonstracja kończyła się w latach pięćdziesiątych z reguły w więzieniu, a w przypadku opornych profesorów pozbawieniem prawa wykładania lub przeniesieniem na głodową emeryturę. O moich ówczesnych profesorach i ich postawach będę pisał w drugiej części tego tekstu. Tu chciałbym podkreślić, iż spośród profesorów o niewątpliwie opozycyjnym sposobie bycia czy wypowiedzania się, stosunkowo wcześniej pozbawiono działalności dydaktycznej słynnego ekonomistę liberalnego Adama Krzyżanow-

skiego, a w latach moich studiów pamiętam także przypadek profesora Ludwika Ehrlicha, wielkiego oryginała, byłego profesora lwowskiego, znakomitego specjalisty prawa międzynarodowego, ale w duchu typowo anglosaskim (był wychowankiem m.in. uniwersytetów amerykańskich). Ludwik Ehrlich, cudem ocalony w czasie wojny, niezwykle gorliwy katolik, był absolutnie nieskory do zmiany sposobu wykładania i bycia. W rezultacie decyzją ministerstwa, chyba w 1952 r. (?) został odsunięty od dydaktyki, a z Warszawy przysłano docenta Marka Korowicza, przedwojennego dyplomate, który skwapliwie przeszedł na służbę nowego ustroju. Także po jego przybyciu do Krakowa niektórzy współpracownicy Ehrlicha w pełni poparli nowego szefa, aliści po krótkim czasie Korowicz wysłano w składzie jakiejś delegacji PRL do Paryża. Z wyjazdu tego Korowicz już nigdy nie wrócił... Zapanowała konsternacja, a ministerstwo skonfundowane przywróciło wykłady Ludwika Ehrlicha...

Powróćmy jednak do sprawy postaw studenckich i moich własnych. Byłem rzecz jasna wrogiem systemu i podległości Polski Związkowi Radzieckiemu, ale w latach 1950-1954 jakaś myśl o aktywności konkretnej „anty rządowej” wydawała się w moich środowiskach – absurdalna. Starałem się być realistą: dwaj moi kuzyni, młodszy o parę lat siedzieli w więzieniach za tzw. konspirację młodzieżową. W latach pięćdziesiątych nie miało to żadnego znaczenia praktycznego, nawet nie docierało do wiadomości ogółu. Jedyną formę uznawaną w pewnych granicach przez władze niezależności reprezentował Kościół katolicki, dlatego wszelkie afiszowanie się postawą wyznaniową było bardzo źle widziane, ale możliwe. Stąd w moim gronie lekturą szczególną w tych latach był „Tygodnik Powszechny”, jedyny w granicach istniejącej cenzury periodyk stanowiący niszę intelektualną epoki.

Postawy opozycyjne wydające się dziś wręcz dziecinne w porównaniu z działalnością opozycyjną „z otwartym czołem” z epoki lat siedemdziesiątych, ówczesnie były jedynymi realnie możliwymi, jeżeli nie chcieli popełnić swego rodzaju samobójstwa społecznego. Dla podkreślenia tego faktu przedstawię nieco później historyjkę opartą na własnych wspomnieniach. Stale trzeba pamiętać o roli i znaczeniu liturgii systemu, która praktycznie zastępowała realne ideologiczne zaangażowanie: ważny był udział w takich czy innych *quasi* sakralnych scenariuszach epoki, siłą rzeczy nie musiało się to pokrywać z wewnętrznym przejęciem się wykonywanymi rytualnymi gestami... Decydował zresztą z reguły udział różnych form przymusu w fasadowej organizacji życia codziennego.

W tej epoce jedyną formą realistyczną zaznaczania swej rezerwy wobec systemu było unikanie udziału w napuszonych imprezach oficjalnych, reprezentowania generalnie nie tylko braku gorliwości w różnych formach mimikry, ale i unikanie wszystkiego, co nie było formalnie nakazane lub nie było propozycją „nie do odrzucenia”. Tak więc na przykład nie należałem wraz ze stosunkowo

nieliczną grupą osób na roku do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, nie jeździłem budować „Nową Hutę” czy namawiać chłopów do dobrodziejstw kolektywizacji. Jak daleko jednak sięgała atmosfera zniewolenia umysłów obserwowałem biorąc udział jako przymusowy widz na tzw. otwartych czyli obowiązkowych dla wszystkich studentów zebraniach produkcyjnych lub zebraniach Związku Młodzieży Polskiej. Pierwszy raz byłem obecny na takim zebraniu bodaj na wiosnę 1951 r. Czemu było poświęcone, nie pamiętam, ale istota rzeczy polegała na wyreżyserowanym sterowaniu masowym entuzjazmem obecnych. Wyglądało to tak, iż wygłaszany referat, prawdopodobnie o sukcesach ZSRR w budownictwie komunizmu, przerywany był co pewien czas „spontanicznymi” okrzykami z głębi sali typu: „Chorąży Pokoju i wódz najdoskonalszego społeczeństwa radzieckiego Józef Stalin niech żyje!”. Na takie hasło wszyscy mniej lub bardziej skwapliwie zrywali się z miejsc i następowało na przykład ciągnące się nieraz w nieskończoność skandowanie słów „Stalin” – „Stalin”! Czuję się w tej sytuacji fatalnie, zwłaszcza kiedy obserwowałem, iż pewne osoby, wydające się zgoła rozsądne, w tym układzie także demonstrowały bezgraniczny entuzjazm. Na takich zebraniach przypominał mi się ówczesny kawał: „W kościele katolickim w czasie Podniesienia wszyscy kłęczą, jeden pan stoi wyprostowany. Na pytanie otoczenia dlaczego zachowuje się w ten sposób odpowiedział: „jestem niewierzący”. – To dlaczego chodzi Pan do kościoła. – Bo jestem przeciw komunistom“. Na innym zebraniu, na którym byłem (chyba po raz już ostatni), odbywały się seanse samokrytyki i biczowania bliźnich. Pamiętam z opowiadań, jak pewnemu, dziś wybitnemu profesorowi prawa, zarzucono, iż mimo że jest aktywistą ZMP, uczęszcza na dancingi, tańczy nieprzyzwoite tańce zachodnie i w ogóle jest tzw. dżolerem – o czym świadczy jego bujna i nieuprządkowana właściwie fryzura. Jak wiadomo we wczesnym etapie rozwoju formacji totalitarnych są one zazwyczaj purytańskie obyczajowo. Zapoczątkował to chyba sam Robespierre... Dodajmy, iż w takich oskarżeniach biednego kolegi, był on już wówczas chyba asystentem, celowały oczywiście koleżanki, partyjne Savonarole. Być modnym młodzieńcem, tzw. dżolerem, niemal naśladowującym skandalicznego Leopolda Tyrmanda, to nie było oskarżenie łatwe do odparcia. Zainteresowany jednakże replikował na tyle celnie, iż „owe córki rewolucji” umilkły. Powiedział krótko: „Co ma Organizacja do owłosienia członka?”. Przewodniczący zmienił temat. Nim przejdę do paru słów o postawach grona nauczającego w tych latach, opowiem moje czołowe bodaj „osiągnięcie opozycyjne” tych lat wiążące się z pogrzebem Józefa Stalina. Zacznę od mocno pozostającego w mojej pamięci momentu nadejścia wiadomości o śmierci Stalina. Czekaliśmy w naszej grupie studenckiej na rozpoczęcie ćwiczeń. Ktoś wpadł krzycząc, że Stalin nie żyje. Na moment wybuchła wrzawa zgoła nie żałobna. Wiele osób, jakby tracąc maski, okazywało wręcz radość

– tak trwało kilka chwil, następnie usiłowano przybierać nastroje smutku i osłupienia. Nadszedł dzień pogrzebu w Moskwie. Wydano w Polsce rozliczne decyzje nadające charakter uroczysty pośredniemu udziałowi w ceremonii moskiewskiej. Studenci otrzymali polecenie przybycia, bodaj na 9.30 rano do sal wykładowych dla wysłuchania transmisji z Moskwy. Rano jak zwykle udałem się jednak do biblioteki licząc na to, iż uniknę w ten sposób udziału w całej imprezie, okazało się jednak, iż w Bibliotece Jagiellońskiej też mieliśmy wysłuchać transmisji, co zapowiedziano w sali czytelní. Wyszedłem wobec tego z Jagiellonki i postanowiłem pojechać do domu. Kiedy doszedłem do rogu Karmelickiej okazało się, iż ruch uliczny został już całkowicie wstrzymany, poszedłem Plantami. Tam okazało się, iż z głośników na Plantach (były to głośniki chyba permanentnie zainstalowane dla transmisji kolejnych uroczystości 1 Maja) także słycać dźwięki żałobnych marszów. Na rogach stali milicjanci, na całych Plantach poza mną nie było przechodnia... Uczułem się bardzo dziwnie, by nie rzec, że przeraziłem się. Zacząłem układać w myśli na wszelki wypadek jakąś wersję o chorobie dziadka, który pilnie potrzebuje leku z apteki. Nikt mnie wprawdzie nie zatrzymał, ale droga do domu wydawała mi się niezwykle długa (mieszkałem aż na Osiedlu Oficerskim) i denerwująca. Po latach, kiedy przeczytałem Orwella, wrócił do mnie klimat tego dnia: w powietrzu jakby unosił się klimat totalitarnego zniewolenia..

Chciałbym zaznaczyć, iż sytuacja ówczesnych środowisk naukowych w latach 1948-1954 była zmienna i zależała od wielu czynników. Stąd pewne moje obserwacje dotyczące Uniwersytetu Jagiellońskiego mogą nie być w pełni adekwatne w odniesieniu do innych środowisk; moje obserwacje dotyczą siłą rzeczy głównie Wydziału Prawa UJ, choć dość wcześnie, pośrednio bądź bezpośrednio, miałem sporą orientację, przynajmniej w stosunku do szerokiego spektrum nauk humanistycznych. W przypadku studium prawa należy podkreślić jeszcze jedną rzecz istotną. Indoktrynacja komunistyczna miała prowadzić do pełnego podporządkowania całej nauki dogmatom i ideologii marksistowskiej, jednakże praktyczne, zwłaszcza początkowo, rezultaty tych działań zależały w dużej mierze od specyficznego charakteru czy roli społecznej danej grupy nauk. Jak wiemy (pozostawiając na boku perypetie nauk biologicznych z teoriami radzieckimi w tej mierze – Łysienko itd.), to przecież nauki techniczne czy nauki ścisłe, poza uleganiem pewnym nieuniknionym sloganom o marksizmie-leninizmie, mogły w zasadzie spokojnie kontynuować swe badania i dydaktykę z zakresu chemii, matematyki, medycyny itd. O wiele gorzej było, zwłaszcza od wystąpienia „genialnego Językoznawcy”, w naukach humanistycznych. Szczególnie zagrożone była historia i historia literatury polskiej. Na tym tle sytuacja profesorów prawa była jeszcze gorsza i to najwcześniej: gros przedmiotów wykładanych na wydziałach prawa to są tzw. przedmioty dogmatyczne, wykłady prawa

obowiązującego w danej dziedzinie. Otóż już w 1950 r. ogromna część prawa obowiązującego w kraju, a zwłaszcza prawo państwowe, administracyjne, organizacja sądownictwa, procedura karna, prawo karne itd. były gruntownie zmienione i profesor prawa danej dziedziny, *nolens* czy *volens*, nie mógł ignorować obowiązującego stanu prawa. Do tego dochodził także fakt narzucania radzieckich koncepcji w zakresie ogólnych koncepcji prawa (teoria prawa dawniej zwana filozofią prawa, historyczne przedmioty), których przejście na płaszczyźnie teoretycznej było łatwiejsze z technicznego punktu widzenia niż szybka przebudowa całego gmachu odziedziczonego z epoki II Rzeczypospolitej. Tak więc musimy zdawać sobie sprawę z tego, iż moi profesorowie roku 1950 i następnych stali w obliczu sytuacji prawnej, która określała generalnie ich dydaktykę, także i dlatego, że dla większości przedmiotów istniały już ustalone centralnie, programy studiów, obowiązujące podręczniki itd. Wszystko to w ogromnej mierze ograniczało swobodę działania profesora. Jego indywidualne poglądy, jeżeli były niezgodne z powyższymi ramami, mogły narazić go i wielokrotnie narażały na kłopoty. Jak już wspomniałem, przynajmniej od 1948 r. na wielu uniwersytetach drobne grupy pierwszych młodzieżowych aktywistów pilnie „cenzurowały” postępowanie profesorów⁶. Także i przed II wojną światową profesor prawa danej dyscypliny musiał w przedmiotach prawa pozytywnego trzymać się obowiązującego materiału normatywnego, lecz miał ogromną swobodę, czy to własnych ocen, czy głoszenia nawet krytyki obowiązującego ustawodawstwa w postaci uwag *de lege ferenda* itd. (mieliśmy na przykład w okresie rządów sanacyjnych licznych profesorów proveniencji endeckiej, którzy w różny sposób krytykowali czy opiniowali obowiązujące prawo, także w publikowanych ówczesznie podręcznikach). Nie traktowano tego jako działalności politycznej, a jedynie było to wyrazem zasady wolności nauki. Nieliczne przykłady nacisków urzędowych na uniwersytety w tej epoce potwierdzają generalnie ten mój pogląd. Teraz było jednak inaczej i każdy profesor, w każdym razie w latach 1950–1954, musiał sobie zdawać sprawę z tego, iż jego wykłady są bacznie obserwowane podobnie jak i całość jego aktywności uniwersyteckiej, łącznie z głosowaniem w radzie wydziału⁷. Mając w pamięci te uwagi wstępne popatrzmy na zespół profesorski Wydziału Prawa UJ koncentrując się siłą rzeczy głównie na profesorach. Należy stwierdzić, iż mimo bolesnych strat wojennych i powojennych Wydział Prawa UJ, wzmocniony naukowo kilkoma profesorami lwowskimi, prezentował się od strony poziomu naukowego wręcz znakomicie. Na historii prawa dominował autorytet profesora Adama Vetulaniego, kanonisty o europejskiej sławie i ucznia Stanisława Kutrzeby. Obok niego mój późniejszy mistrz Michał Patkaniowski, uczeń Stanisława Estreichera, któremu świetnie zapowiadającą się karierę przerwała w pewnej mierze wojna i okres stalinowski, a także wybitny romanista, choć tradycyjnej szkoły lwowskiej,

Wacław Osuchowski. Do czołowych uczonych zaliczyć także należało cywiliistów Stefana Grzybowskiego i Kazimierza Przybyłowskiego. W naukach penalistycznych dominował autorytet najwybitniejszego polskiego karnisty okresu powojennego – Władysława Woltera. Ludwik Ehrlich w prawie międzynarodowym, Konstanty Grzybowski w prawie publicznym czy Jerzy Lande, uczeń Leona Petrażyckiego, reprezentowali także bardzo wysoki standard naukowy. W moich wspomnieniach bardziej przecież zwracam uwagę na problem postaw politycznych, moralnych, na stosunek grona profesorskiego wobec nowej rzeczywistości. Należy podkreślić, iż na Wydziale Prawa UJ wczesne i entuzjastyczne poparcie nowego reżimu należało przed rokiem 1950 do rzadkości, dotyczyło głównie bądź ludzi młodszego pokolenia (a więc raczej niektórych asystentów), bądź postaci naukowo marginesowych. Wyjątkowym przykładem był tu także Bogusław Leśnodorski, który już przed 1949 r. brał udział aktywny w propagowaniu nowych koncepcji i przeszedł do Warszawy, w której dzięki swym talentom, także oratorskim, wkrótce zrobił błyskotliwą karierę⁸.

Tu uwaga dodatkowa: po roku 1956 B. Leśnodorski, pozostając formalnie w kręgu ludzi nauki związanych z reżimem, w istocie przechodził wyraźnie na pozycje sceptyka i liberała. Był znakomitym znawcą Oświecenia i człowiekiem bardzo ludziom życzliwym, a jako redaktor „Kwartalnika Historycznego” dobrze się zapisał w pamięci. Osobiście dużo mu zawdzięczam i w późniejszych latach nikt mu chyba nie pamiętał niektórych młodzieńczych wypowiedzi z okresu około 1948 r. Swoje uwagi o postawach grona nauczającego zacznę od dominującego dla studentów I roku prawa środowiska Instytutu Historii Prawa, z którym to środowiskiem związałem się blisko już jako student II roku studiów. Studia ówczesne na Wydziale Prawa (a w pewnej mierze i do dziś) dostarczały silnego ładunku informacji historycznoprawnej, co władze PRL utrzymały, kierując się wskazaniem historyzmu marksistowskiego. W Krakowie miało to związek z jeszcze silną dziewiętnastowieczną tradycją uniwersytetów niemieckich i austriackich (wywodzącą się od szkoły historycznej w naukach prawa von Savignego), na której się generalnie w Galicji do 1914 r. wzorowano. Dodajmy, iż w dobie autonomii galicyjskiej preferowanie przedmiotów historycznych na prawie było zarazem szansą na wykładanie w tych ramach dziejów dawnego polskiego ustroju i prawa przedrozbiorowego: przecież obowiązujące prawo austriackie czy pruskie było prawem zaborców. Stąd ogromny rozkwit w drugiej połowie XIX wieku i na początku XX wieku w Krakowie i Lwowie nauki historii prawa we wszystkich jej odmianach (tzw. historia prawa na Zachodzie Europy, historia prawa polskiego, prawo rzymskie, prawo kanoniczne). Wprowadzany właśnie w roku rozpoczynającym moje studia prawnicze nowy program studiów (oparty już na założeniach komunistycznej teorii prawa) zgodnie z rolą refleksji historycznej w myśli Marksa preferował nadal nauczanie historii prawa,

co dawało szansę utrzymania się przy dydaktyce uczonym nawet najdalszym od marksizmu-leninizmu, by dalej wykładać w istocie zgodnie z dotychczasowym naukowym stanem badań. Przez szereg lat tu i ówdzie w nauce historii wystarczała więc swego rodzaju mimikra w postaci skąpego cytowania klasyków marksizmu-leninizmu, siłą rzeczy jednak straszyły sentencje o stałym „zaostrzeniu się walki klasowej”, *per fas et nefas* wszędzie rzekomo zauważalnym, bądź rytualny zwrot o „wzrastającym ucisku pańszczyźnianego chłopca”, co mogło sugerować, iż od niemal czasów Kazimierza Wielkiego po wiek XIX ucisk ten stale rósł, z czego musiałby wynikać logiczny wniosek, iż chłopom się wspaniale powodziło w dobie przedhistorycznej. Mój krakowski mistrz, Michał Patkaniowski, opierał w gruncie rzeczy swój wykład kursowy nadal na skrypcie, znakomitym na swój czas, Stanisława Estreichera, nieznacznie tylko go uzupełniając właśnie ukazującymi się poszczególnymi tomami czy skryptami podręcznikiem Karola Koranyi’ego. Sam Karol Koranyi, po latach mój promotor doktoratu, w gronie zaufanych jowialnie powtarzał, że trzeba naprzód napisać tekst zgodnie ze światowym stanem badań, a następnie, na wszelki wypadek poszukać „odpowiedniego” cytatu z Marksa czy Engelsa. Na szczęście, uzupełniał, w wypowiedziach „klasyków” przy odrobinie wysiłku można znaleźć uzasadnienie każdej niemal teorii historycznej... Dodam, iż profesor Koranyi miał (i nikomu nie udostępniał) jakiś radziecki zbiór – antologię wypowiedzi klasyków marksizmu o historii i to mu ułatwiało „inkrustowanie” podręcznika odpowiednimi cytatami. Oczywiście można z dzisiejszej perspektywy nazbyt łatwo zżymać się na uczonych tej epoki, którzy *nolens* czy *volens* usiłowali jednak w warunkach totalitaryzmu żyć i twórczo pracować.

W siedzibie Instytutu Historii Prawa składającego się z trzech katedr – prawo rzymskie, powszechna historia państwa i prawa i historia państwa i prawa polskiego, ani wówczas, ani przez wiele dalszych lat nie było zarówno wśród profesorów, jak wśród asystentów i adiunktów ani jednej osoby powiązanej z PZPR czy z organizacjami młodzieżowymi w charakterze działaczy. Temu zespołowi nadawał profesor Adam Vetulani, z politycznych opcji bliski ruchowi ludowemu, niekomunistycznemu, powiązany z okresu przed II wojną światową ze Stanisławem Kotem, jak i jego wiernymi uczniami – Henrykiem Baryczem i Janem Hulewiczem. Także wspomniani już profesorowie Osuchowski i Patkaniowski byli jak najdalsi od idei komunistycznych. Profesor Wacław Osuchowski kontynuował tradycję feudalizmu uniwersyteckiego à la Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie. Nie zawsze sympatyczny w sposobie bycia, wręcz wyniosły wobec otoczenia (choć nieskazitelny w manierach), daleki był od unizoności wobec sytuacji, jakie niosła epoka apogeum stalinizmu. Można sądzić, iż tylko całkowity brak „postępowej” kadry w dziedzinie tak specjalistycznej, jaką było prawo rzymskie, umożliwił prof. Osuchowskiemu, mimo ataków nań ze strony aktywistów

młodzieżowych, kontynuowanie działalności dydaktycznej. Człowiekiem o sporych umiejętnościach dyplomatycznych, zdecydowanym na konieczne niekiedy gry ze stroną przeciwną, był profesor Michał Patkaniowski, który znakomicie sobie radził jako dziekan w tych trudnych czasach. Pozornie ustępliwy wobec gromkich żądań partyjno-młodzieżowych, wielokrotnie w zręczny sposób torpedował ich działania. Był krytycznym, ale i wiernym kontynuatorem najlepszych tradycji uniwersyteckich. Wielokrotnie z mniejszym czy większym powodzeniem wojował o sprawy profesora Adama Vetulaniego, nieraz przez tegoż pogarszane nazbyt szczerymi wypowiedziami. Prawdziwe oblicze profesora Patkaniowskiego poznawali nie tylko ludzie, którzy zdobyli sobie jego zaufanie, ale i grono słuchaczy jego wykładów: potrafił przez wszystkie feralne lata pięćdziesiąte prowadzić wykłady wbrew obowiązującym oficjalnie szczegółowym programom. Jego metoda była szczególna: na wykładach poświęconych *con amore* bądź świetnie mu znanym sprawom średniowiecza (a zwłaszcza jego ulubionej tematyce włoskiej), bądź również *con amore* wykładanych sprawach angielskich, Profesor w formie bardzo nieraz luźnych dygresji potrafił – dla inteligentnego słuchacza – otwierać szerokie horyzonty poruszając wiele kwestii niekoniecznie zawartych w programie. Niewątpliwie kładzenie nacisku na studium mechanizmów angielskiego parlamentaryzmu miało swoją wymowę w epoce totalitarnych rządów opartych o czysto fasadowe głoszenie pryncypiów demokratycznych. Nb. taką metodą wykładania prof. Patkaniowski zazwyczaj wykład swój doprowadzał ledwo do XIX wieku, unikał jak ognia spraw nowszej historii... Młodsze ówczesnie grono historyków prawa także w żaden sposób nie dążyło do propagowania idei nowego systemu. Kontakty bardziej indywidualne z tym gronem szybko pozwalały na orientację, iż w katedrach historyczno-prawnych panuje duch niezależności i dystansu wobec otaczającej nas rzeczywistości. Podobnie było z wykładem, jakże ważnym, teorii prawa prowadzonym przez Jerzego Landego, profesora niegdyś wileńskiego, człowieka uroczego i powszechnie lubianego przez studentów. Siłą rzeczy w tej dziedzinie, o jakże ideologicznych konotacjach, młodszy uczniowie profesora (zwłaszcza późniejsi profesorowie Jerzy Wróblewski i Kazimierz Opałek) stawali się przedstawicielami nauki marksistowskiej. W czasie, kiedy uczęszczałem na wykłady Jerzego Landego, potrafił on wielokrotnie referując oficjalny punkt widzenia podkreślać, iż się z nim nie zgadza. Mawiał niekiedy mniej więcej dosłownie tak: „moi młodzi przyjaciele marksiści mówią tak i tak, ale już Leon Petrażycki wykazał, że... itd. itd.” Niewątpliwie jednak ilościowo wśród profesorów i docentów zaczęli przeważać wykładowcy, którzy wykonując swe obowiązki dydaktyczne starali się nade wszystko nie narażać nowym władzom, wykladać łącząc mniej lub bardziej fachowość podejścia z koniecznym trybutem nowej ideologii. Najczęściej byli to fachowcy o węższych horyzontach, szukający niekiedy ucieczki w swej

twórczości naukowej w dziedzinie mniej ideologicznie niebezpieczne. Takim pozostał w mej pamięci profesor Szczęsny Wachholz, wykładowca prawa administracyjnego, bodaj najnudniejszy z ówczesnych profesorów, który jednakże, rzecz charakterystyczna, bodaj nic nie pisał o obowiązującym prawie PRL-u, a przez długie lata prowadził badania nad dziejami ...Rzeczypospolitej Krakowskiej lat 1815-1846. Wykładowcami, którzy starali się unikać większego zaangażowania w nową rzeczywistość byli m. in. prof. prof. W. Ostrowski (prawo finansowe), M. Waligórski (procedura cywilna). Nieco szczególna była sytuacja profesora Władysława Woltera, znakomitego wręcz wykładowcy prawa karnego, ale i ważnego przedmiotu logiki dla prawników. Wolter z okresu okupacji hitlerowskiej, niekoniecznie słusznie, był obciążony różnymi zarzutami, a w jego zespole dość szybko znaleźli się ludzie o bardzo daleko idących koneksjach z nowym reżimem. Trzeba więc stwierdzić, iż wszystko wydaje się świadczyć o tym, że Wolter, uczony znakomity, przez długie lata obawiał się o swoją egzystencję i wielokrotnie czynił ustępstwa wobec otoczenia, nieraz niewybaczalne⁹. Czas jakiś nadmiernym entuzjastą nowego ustroju był inny wybitny uczeń Stanisława Estreichera i jego zięć – Konstanty Grzybowski, po którym w późniejszych latach pozostała do dziś legenda wielkiego intelektualisty, liberała-sceptyka, który jednak nigdy nie wykraczał poza dozwolone *quantum* sceptycyzmu. W epoce moich studiów wykładał przecież prawo państwowe ustroju później nazwanego PRL-em. To dopiero nieco później prof. K. Grzybowski objął katedrę doktryn politycznych i wychował grono znakomych uczniów. Trzeba jednak podkreślić, iż ówczesne środowisko katedry prawa państwowego i teorii prawa było właśnie zdominowane (jako właściwie jedyne) przez młodych zwolenników nowego ustroju. Tamże także wykładał dla nas przedmiot o nazwie „Podstawy marksizmu-leninizmu” dr Kazimierz Nowak, postać na szczęście tak kuriozalna, iż raczej nikt nie brał ani przedmiotu, ani wykładowcy zbyt poważnie. Podobnie było z wykładowcami ekonomii politycznej, z których głównie rekrutowali się ówczesni członkowie Partii, zazwyczaj jedynie mianowani zastępcami profesorów. W każdym razie, jeżeli w danej katedrze jakiś adiunkt ze stopniem doktora wstępował do PZPR, to z miejsca stawał się dla swojego szefa nietykalnym: nie byłoby odważnego, może poza Ludwikiem Ehrlichem, który by wnioskował zwolnienie z pracy asystenta z legitymacją partyjną w kieszeni.

Elegancją, ale i swego rodzaju ekscentrycznością sposobu bycia, zaciekał inny przedstawiciel tego środowiska – prof. Witold Zakrzewski, który z wykładowcy prawa państwowego przekształcił się na szereg lat głównie w wykładowcę „Ustroju ZSRR”, co siłą rzeczy ograniczało jego intelektualne możliwości dydaktyczne do uprawiania umiarkowanej, niekiedy wyrafinowanej sztucznej, apologetyki przedmiotu wykładu. W kategorii oficjalnie, publicznie się gromko deklarujących zwolenników nowego ustroju, można wyróżnić z pewnością obok

zwykłych oportunistów i młodzieżowych entuzjastów (z których część po latach oprzytomnieje i z reguły przejdzie na pozycje tzw. rewizjonizmu wewnątrz PZPR) także i intelektualistów, których pewna ekwilibrystyka dialektyczna będzie pociągać jako pewnego rodzaju intelektualny sport dla sportu. Zaryzykowałbym pogląd, iż nie było to rzadkie zjawisko, a prof. W. Zakrzewski należał moim zdaniem do tego typu uczonych dość łatwo opuszczających świat społecznych realiów dla wymaginowanych konstrukcji intelektualnych. Ten siłą rzeczy pobieżny i niepełny przegląd galerii ówczesnych ważniejszych sylwetek grona profesorskiego pozwala mi na stwierdzenie, iż wbrew pozorom, nawet w latach 1950–1954, choć oficjalnie treści prawa obowiązującego nam wpajane wyrażały wielokrotnie ducha systemu totalitarnego, a struktury organizacyjne i indoktrynacja wokół szerzona ten proces dodatkowo wzmacniały, to przecież grono profesorskie, jak wskazałem, dalekie było generalnie od jakiegoś hurra entuzjazmu. Bez względu na takie czy inne wątpliwe nowe treści prawa zwanego socjalistycznym, gros naszych profesorów dążyło raczej do wpajania utwierdzonych tradycją europejskiej kultury prawnej zasad ogólnych prawa, interpretacji prawa, zasad przestrzegania prawa. Zarówno wykładający prawo karne profesor Władysław Wolter, jak i ówczesny docent Marian Cieślak, wykładający procedurę karną, kładli nacisk na ogólne zasady i na ich przestrzeganie. Pamiętajmy, iż były to lata, w których w kraju szalał terror UB, więzienia były przepełnione, na każdym kroku łamano właśnie w praktyce zasady prawa karnego i procedury karnej. Uniwersytet przecież dążył do nauczania tych zasad, które, choć co chwilę łamano, formalnie nadal w kodeksach obowiązywały. Profesorom dawnego stylu krakowskiego zarzucało się nieraz, nie tylko w dobie stalinizmu i nie bez pewnych racji, tak zwany feudalizm uniwersytecki, zwłaszcza w sposobie odnoszenia się do asystentów i studentów. Moje rozliczne doświadczenia zbierane nie tylko na ówczesnym krakowskim uniwersytecie, prowadzą do stwierdzeń następujących: 1. Klasyczny feudalizm, i to w znaczeniu pejoratywnym do dziś, był raczej domeną nauk przyrodniczych, chyba z medycyną na czele. 2. Przedwojennym ośrodkiem, który może najjaskrawiej reprezentował owe nie najlepsze tradycje, był ośrodek lwowski i rzeczywiście wedle moich doświadczeń osobistych profesorowie powojenni UJ, którzy mieli za sobą rodowód lwowski, zazwyczaj w tych kwestiach odbiegali na niekorzyść od swych kolegów krakowskich. Dotyczyło to nawet tych profesorów, którzy byli ujmujący towarzysko i osobiście sympatyczni, jak na przykład profesor Kazimierz Przybyłowski. Jaskrawo widoczne to było u profesorów Ludwika Ehrlicha i Wacława Osuchowskiego. Wśród studentów był utrwalony pogląd, iż chcieć zostać asystentem u jednego z nich, to raczej pomysł szczególnie i wymagający specyficznych cech charakteru. 3. Generalnie na Wydziale Prawa UJ starzy profesorowie przykładali ogromną wagę do tradycji uniwersyteckich, do dobrych manier

towarzyskich i nieskazitelných obyczajów naukowych, a zwłaszcza także respektowania ich ówczesznie jeszcze wysoko noszonej godności profesora uniwersytetu, co załamały w dużej mierze powojenne stosunki w PRL, w tym także i sprawy statusu materialnego profesorów. Rzadkością natomiast na Wydziale Prawa UJ były przykłady złego traktowania studentów czy asystentów, lub wykorzystywanie asystentów do własnych celów. W każdym razie nie zdarzyło się to nigdy w katedrze profesora Patkaniowskiego, którego współpracownikiem formalnie byłem w latach 1959–1966. Stąd dodam, iż patrząc porównawczo na niekiedy zbyt może „populistyczne” maniere wielu dzisiejszych środowisk uniwersyteckich, uważam pewien ceremonializm ludzi UJ za istotny i pozytywny czynnik tradycji uniwersyteckiej i że te elementy życia na UJ w latach stalinowskich okazywały się nieraz bardzo przydatne¹⁰. Na ówczesnym Wydziale Humanistycznym sytuacja była bardzo zróżnicowana, jednakże, może pozornie nieco, obserwator mógł sądzić, iż na kierunku historii „nowe” brało zdecydowanie górę pod przewodnictwem młodej podówczas profesor Celiney Bobińskiej, a przy biernym zachowaniu niektórych profesorów starej generacji, jak Jan Dąbrowski, Kazimierz Lepszy. Postawy twarde reprezentowali nade wszystko Henryk Wereszycki, pozbawiony przez wiele lat możliwości wykładowania w Krakowie, Roman Grodecki, czołowy polski mediewista tych czasów. W momencie rozpoczęcia moich studiów już nie wykładał przeniesiony na emeryturę po ostrej nagonce profesor Władysław Konopczyński (1880–1952). Z prof. Vetulanim związana była blisko prof. Zofia Kozłowska-Budkowa (1893–1986), u której studiowałem nauki pomocnicze historii. Do odejścia z UJ zmuszono ówczesznie także profesora Kazimierza Piwarskiego (1893–1968), który wrócił na UJ dopiero w 1956 r. Różnego rodzaju dyskryminacje dotyczyły przez długie lata uczniów Grodeckiego, jak Józefa Mitkowskiego, czy ucznia Wereszyckiego – Wacława Felczaka (pamiętano o jego politycznej działalności konspiracyjnej) i wiele innych osób. Zakres różnych form dyskryminacji na każdym Wydziale zależał może nie tyle od „sytuacji obiektywnych”, co zwłaszcza od gorliwości miejscowych działaczy młodzieżowych i partyjnych. To co w danej sytuacji było tu i ówdzie tuszowane, w innej groziło poważnymi konsekwencjami. Młodzi gorliwcy byli szczególnie niebezpieczni. Nikt z nich nie znał mądrej maksymy księcia Talleyranda, który o swojej metodzie służenia kolejno różnym reżimom mawiał, iż polegała na stałym praktykowaniu zasady: *Pas trop de zèle* (Nie za wiele gorliwości)... Warto dodać jeszcze jedną uwagę ogólniejszą o postawach środowiska akademickiego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wbrew pozorom to nie prawnicy cieszyli się większym zaufaniem Partii. Rektorami zostawali w latach pięćdziesiątych i później głównie profesorowie nauk ścisłych, bądź humanistyki. Raz tylko w ramach odwilży popaździernikowej rządu objął bez partyjnego błogosławieństwa Stefan Grzybowski, który nie tylko przygotował organizacyjnie,

finansowo i prawnie jubileusz UJ na rok 1964, ale i potrafił – wobec ciągłych konfliktów z organizacją partyjną – odejść ze swego stanowiska, rezygnując z jakichkolwiek ustępstw w kwestiach, które uważał za istotne. Stąd rektorem jubileuszu został historyk Kazimierz Lepszy, nadmiernie zakochany w splendorach rektorskich, człowiek, o którym złośliwe powiedzenie głosiło dosłownie: „Teraz to już pierwszy lepszy może zostać rektorem UJ...”.

W najgorszych bodaj latach mego studiowania rektorem był Teodor Marchlewski, namaszczony na to stanowisko przez Partię z uwagi głównie na nazwisko. Siłą rzeczy nie miałem z nim żadnych bezpośrednich kontaktów. Ogólnie oceniano go jako człowieka uczciwego, ale słabego, który w trudnych warunkach, właśnie w oparciu o mitologiczną dla Partii magię nazwiska, potrafił niejedno dla UJ załatwić.

Kiedy wracam pamięcią do tych lat, myślę, iż około roku 1951 spectrum akceptacji ustroju wśród ludzi zawodowo czynnych było stosunkowo szerokie. Pamiętajmy, iż po roku 1947 jakiegokolwiek realistyczne nadzieje na ograniczenie władzy komunistycznej rozwiały się. Ludzie – przynajmniej ci, którzy nie obawiali się komunistycznych represji – chcieli pracować. Minimum pragnień to była swego rodzaju mała stabilizacja połączona z potrzebą jakiejś pracy pozytywnej w swoim zawodzie. To pragnienie było szczególnie silne w kręgach naukowych, które przez okres wojenny pozbawione były możliwości swobodnej pracy twórczej. Dla jej wykonywania przyjmowano – jako warunek nie do uniknięcia konieczność przystosowania się do nowej rzeczywistości – jej formalną i oficjalną akceptację: ludzie pragnęli rozpaczliwie normalności, nawet ściśle reglamentowanej przez władze. Później do tych motywacji doszedł wszechpotężny strach, zwłaszcza od momentu, kiedy w 1949 r. rozpoczęły się masowe represje policyjne, tym razem w sporej mierze mające charakter niezrozumiały, dotykające także ludzi, którzy się deklarowali na rzecz nowego ustroju. Stwarzało to przecież klimat zgrozy, o której się nie mówiło (poza wąskimi kręgami zaufanych), ale który to klimat ciążył na wszystkich. Jak daleko sięgały macki strachu w gronie ówczesnych profesorów Wydziału Prawa UJ, trudno było oczywiście empirycznie ustalić. Obok tych, którzy ewidentnie zachowywali postawy niezależne, co dość łatwo studenci mogli zauważyć, u wielu wykładowców przeważała oficjalna maska. W jakiejś mierze określała ich poglądy, a w jakiej mierze była to maska ochronna, raczej nie można było stwierdzić. Pamiętać w każdym razie należy, iż w dyspozycji władz była szeroka gama środków represyjnych, doświadczenia zaś lat sześćdziesiątych-siedemdziesiątych świadczą niestety i o tym, że nawet pośrednie formy dyskryminacji (wstrzymywanie należnych awansów naukowych, zwłaszcza utrudnianie czy uniemożliwianie podróży zagranicznych) były niezwykle skuteczne dla utrzymywania w korbach znacznego procentu profesorów wszelkich struktur naukowych.

Zdaję sobie sprawę, iż moje uwagi, w pewnej mierze nieuniknienie subiektywne, poruszają sprawy dość chętnie tu i ówdzie zapominane, mogą więc wywołać wiele różnorodnych reakcji. Stąd chciałbym raz jeszcze podkreślić, iż sam na szczęście wolny od jakiegoś „garbu” epoki totalitarnej, daleki jestem od ahistorycznej przesady w ocenianiu ludzi tej epoki. Młodzi, nieraz zauroczeni sloganami komunistycznymi, nieraz pozorną głębią wszelkich dialektyk, starsi stosujący nieraz nieudolnie politykę mniejszego zła, czy po prostu przeżycia epoki – byłoby mi trudno wytaczać przeciw tym ludziom ciężkie kolubryny zarzutów, choć nieraz, gdy studujemy teksty tej epoki, widzieć by się chciało na pewnych obliczach ślady rumieńca wstydu...

Tout comprendre to jednak nie oznacza *tout aimer*. W jednej kwestii byłem i jestem bezwzględny: pewne quantum mimikry, czy oportunistu, było niemal nie do uniknięcia, w każdym razie w skali statystycznej. Gorliwość przecież nadmierna, zwłaszcza jeżeli prowadziła do wymiernych krzywd ludzkich, do upadających praktyk, donosicielstwa czy innych niegodnych działań – zapomniana być nie może. Skoro jednak opieram się tylko na realiach tamtej epoki w tej mierze, w jakiej były one do ujrzenia – *ad oculos* się narzucające – ograniczam się tylko do takich stwierdzeń, które uważam za niewątpliwe. Przyszły historyk będzie miał do dyspozycji zarówno zachowane ówczesznie tajne materiały PPR-PZPR, materiały (bodaj szczątkowe) ówczesnych organizacji młodzieżowych, oraz – *last but not least* – materiały władz bezpieczeństwa, będzie mógł dopiero napisać całościową historię poszczególnych środowisk tych ponurych lat. Być może wyraźniejsze będą zarówno sylwetki tych, którzy „byli przeciw” i tych, którzy byli „kreatorami systemu”. Oczywiście, jak wynika moich uwag o życiu ówczesnego studenta, epoka mojego studiowania nie była w żadnej mierze sielanką. Część niewątpliwie znaczna ówczesnych absolwentów przyswoiła sobie głównie to, co głoszone oficjalnie jako najważniejsze zadania prawnika w służbie reżimu. Ci jednak, którzy chcieli studiować nieco głębiej, więcej korzystać z uwag starych profesorów (nieraz najważniejsze były uwagi rzucane marginesowo, niemal przypadkowo), dzięki wysokiemu poziomowi fachowemu i intelektualnemu omawianego przeze mnie grona profesorów, wychodzili ze studiów z umiejętnością techniki i znajomością *quantum* kultury prawniczej. Był to fundament, na którym można było budować – w granicach oczywiście nadal niekorzystnych realiów strukturalnych – nieco swobodniejsze, nieco może poprawniejsze pod względem prawnym życie polskie po roku 1956.

PRZYPISY

- ¹ Ważną pozycją dla zrozumienia klimatu epoki są przenikliwe analizy socjologiczne H. Świdry-Ziemby, *Człowiek wewnątrznie zniewolony. Problemy psychosocjologiczne minionej formacji*, Warszawa 1998.
- ² Nie jest moim celem cytowanie literatury przedmiotu, czy innych wspomnieniowych refleksji. W sprawach ogólnych odsyłam do moich uwag pt. *Postawy inteligencji polskiej wobec stalinizmu (1944–1956). Refleksje historyka*, „Czasy Nowożytnie”, t. VI, 1999, s. 207–227. Oczywiście stale rośnie ilość publikacji o postawach epoki komunistycznej. Jeżeli początkowo przeważały teksty ostre krytycznie, dziś jest coraz modniejsza apologetyczna „literatura rozrachunkowa”. Na wyważone podsumowanie naszej wiedzy o epoce trzeba będzie jeszcze poczekać. Pamiętać też należy, iż dopiero od niedawna otrzymujemy „strzępy meldunków” z tajnych akt aparatu władzy.
- ³ Por. mój szkic pt. *Ludwik Muzyczka (1900–1977) polityk i żołnierz. Przyczynek do dziejów Armii Krajowej*, Warszawa 1992.
- ⁴ Por. o klimacie tych lat na UMK uwagi Jerzego Serczyka, Uniwersytety polskie w czasach stalinowskich (esej wspomnieniowy), „Czasy Nowożytnie”, t. VI, 1999, s. 229–248. Autor podkreślił silny element strachu i rolę metod indoktrynacji stosowanych wobec studentów i pracowników. O wpajaniu tzw. filozofii marksistowskiej napisał: „Kształtowało się w ten sposób umysłowość pólinteligencką, nacechowaną niezwykłą pewnością siebie i lekceważeniem wszelkich innych poglądów „nienaukowych”, bądź nawet „antynaukowych”. Nie działało to na umysły doświadczone, ale nieprzygotowani filozoficznie studenci i niektórzy młodzi asystenci wpadali w tę sieć, z której potem trudno było im się wyplątać” (s. 244).
- ⁵ Tu mniejsza o nazwisko, o pewnym kapitanie Studium Wojskowego UJ krążyły liczne anegdoty, częściowo oparte na faktach. Przyszedł do Krakowa z Uniwersytetu Łódzkiego i zasłynął z powiedzenia przed frontem naszej kompanii: „Kiedy byłem na łódzkim Ujocie...”. Jego nazwisko stało się miernikiem głupoty wśród studentów.
- ⁶ W Toruniu rektor Karol Koranyi, choć pamiętny doświadczeń lwowskiego okresu okupacji sowieckiej usiłował dyplomatyżować, nie uniknął ostrych konfliktów z działaczami młodzieżowymi i nawet dwukrotnie składał demonstracyjnie rezygnację ze stanowiska wobec brutalnych ingerencji tychże działaczy w jego kompetencje, por. K. Kamińska, *Toruńskie lata Karola Koranyiego*, [w:] *Karol Koranyi (1897–1964). Studia w stulecie urodzin*, pod red. S. Salmonowicza, Toruń 1998, s. 9–38.
- ⁷ Wiem z opowieści prof. Michała Patkaniowskiego, iż czasami klimat zastraszania na radach wydziału stwarzany przez przedstawicieli PZPR i ZMP był tak silny, iż trzeba było manewrować w czasie tajnych głosowań, by nie narażać się na podejrzenie postawy opozycyjnej.
- ⁸ B. Leśnorski brał aktywny udział w sporach o nowy kształt historiografii, por. o tych sporach m. in. R. Stobiecki, *Historia pod nadzorem. Spory o nowy model historii w Polsce (II połowa czterdziestych – początek pięćdziesiątych)*, Łódź 1993, tegoż: *Stalinowska unifikacja nauki historycznej*, „Acta Universitatis Łodziensis. Folia Historica”, t. 55, Łódź 1996.
- ⁹ Wł. Wolter pozostał na zawsze w pamięci jako niezrównany wykładowca najtrudniejszych problemów teorii prawa karnego. Brak czasem odwagi cywilnej wobec najbliższego otoczenia doprowadził przecież do sytuacji wątpliwych (wiązących się m. in. z późniejszą ponurą aferą Polana-Haraschina), do ustępstw wobec ludzi niegodnych. Ten świetny intelekt, jak i tyle innych, nie wytrzymał napięć epoki. Jako historyk prawa karnego dużo mu jednak zawdzięczam, por. o ściśle naukowych kolejach mego życia moje uwagi: *Autobiografia naukowa* [w:] *Historia socjologii i nauk prawnych w autobiografiach*, T. I, pod red. J. Leońskiego i T. Rzepy, Szczecin 1996, s. 197–267.

¹⁰ Por. moje refleksje: *Między hierarchicznością, feudalizmem a brakiem dobrych obyczajów w nauce*, [w:] *Idea Uniwersytetu u schyłku Tysiąclecia*, W 1997, s. 53–62. Model profesora UJ, także i w cechach niekoniecznie uważanych za pozytywne (jak nadmierne przywiązanie do własnego prestiżu, wręcz mistyczne przekonanie o roli profesora uniwersytetu), reprezentował wybitny cywilista o zdecydowanie nonkonformistycznej wobec władz postawie Jan Gwiazdomorski (ówcześnie zresztą czas jakiś na wygnaniu we Wrocławiu, bowiem ministerstwo w walce z „reakcyjnym Krakowem” stosowało często metodę przenoszenia profesorów do Wrocławia, Poznania, Łodzi) – por. o tym S. Grzybowski, *Wspomnienia, Zakamycze* 1999, s. 635 n. Nb. bardzo ciekawe pamiętniki profesora Stefana Grzybowskiego głównie jednak dotyczą okresu sprzed 1945 r., a do mojego tematu wiele nie wnoszą. Należy jednak podkreślić, iż nie wahał się on wypowiadać ostrych sądów o epoce, zwłaszcza w okresie swego trudnego rektorowania. W swoich uwagach opieram się na własnych wspomnieniach, siłą rzeczy nie dotyczą więc wielu osób, o których pisze Stefan Grzybowski, wyraźnie akcentując nazwiska osób z różnych wydziałów dalekich od reżimu i środowisk tych, którzy gorliwie reżimowi służyli, por. *op. cit.* s. 696–704.

How I studied during the years of Polish Stalinism

SUMMARY

The author studied at the Department of Law of the Jagiellonian University in Cracow in the years 1950–1954. Ever since the school year of 1948/49, totalitarian practices were being introduced at universities in a very determined way. Coming from a family that strongly cherished the traditions of struggle for an independent Poland, the author experienced some difficulties in being admitted to the university, while throughout his studies he tried to avoid active forms of endorsing the new system. The article describes the organizational and psychological framework of the students' life in those times, when it was under constant and close scrutiny of the authorities. The article points out, however, that apart from quite a numerous group of enthusiasts of the new system or simple opportunists, students began to form small groups of friends whose attitudes were very remote from the uniformization of views and lifestyles expected by the authorities. Indeed, despite the fact that they could not ever reveal it publicly, a significant percentage of students had a critical attitude towards communism and the Soviet Union.

In the second part of the article the author discusses the attitudes of the professors, inasmuch as they could be identified at the time: the situation among lecturers of law, who had to take account of the existing legal situation, was particularly complicated, but there was no shortage of eminent professors at the Law Department of the Jagiellonian University who preserved an independent stance with regard to the system (A. Vetulani, L. Ehrlich, S. Grzybowski, W. Osuchowski and others). Some of the professors succumbed to pressure from party authorities, but it was rather only among the younger generation of lecturers that one could find ardent followers of the party line. There can be little doubt, however, that the role of PZPR (Polish United Workers' Party) and the people who were devoted to it, inexorably increased from year to year, with a short respite in the years of the thaw, between 1956 and 1962.